London, 3rd February, 1957
Registered at the G.P.O. as a newspaper
Cena 2s. 6d. | Dziś 6 stron
Rok XII nr 5 (566)
LONDYN 3 lutego 1957

WIADOMOŚCI

TYGONIK

Redakcja i administracja: 67 Great Russell St., London, W.C.1, tel. CHA 3644. — Prenumerata kwartalna 20s., w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie 3 dolary, w Belgii 150 fr. belg., we Francji 980 fr., w Niemczech 13 DM., w Szwajcarii 14 fr. szw., we Włoszech 1750 lirów, w innych krajach równowartość 3 dolarów. Zmiana adresu 1s. Czeki należy wystawiać na „Wiadomości". Ogłoszenia: administracja „Wiadomości". Cena za 1 cal × 1 szpalta £1.0.0.

67

KAJETAN MORAWSKI

PRZEWRÓT MAJOWY

Można się spierać co do roli jaka wydarzeniom w dniach od 12 do 15 maja 1926 przypada w dziejach Polski niepodległej. Można odmiennie oceniać ich przebieg, ich konsekwencje polityczne, ich wpływ na siły odporne państwa i narodu gdy wybiła godzina najazdu. Trudno jednak zaprzeczyć że w osobistym życiu wielu ludzi z pokolenia dwudziestolecia, które również i na układzie stosunków emigracyjnych wycisnęło swe znamię, dni te stanowią datę przełomu i wstrząsu moralnego, jednego z najsilniejszych. Ilekroć myśląc o przeszłości wybiegam poza zawsze barwny i świeży kraj lat dziecinnych i wczesnej młodości, niezmiennie te same obrazy stają mi przed oczami. Nie zapomnę odbłysku listopadowego słońca w broni rzucanej przez brodatych landwerzystów Wilhelma II do stóp wyrostków warszawskich, ryku bydła i turkotu furek uchodźczych w noc z 14 na 15 sierpnia 1920, gdy tylko ogień artyleryjski spod Radzymina przerywał na krótko ciemności zaległe nad miastem i krajem, i tego majowego popołudnia, gdy stojąc w oknie Pałacu Namiestnikowskiego usłyszałem po chwili dziwnej ciszy jednostajny szczekot kulomiotów i uświadomiłem sobie że to żołnierz polski strzela do polskiego żołnierza. Wielu z nas dzieli te wspomnienia, których nie zatarły nawet gorycz i upokorzenie, gdy na szlak długiej wędrówki wkraczaliśmy przez most na Czeremoszu. Bo oczy nasze, zmęczone tej nocy lichymi światłami granicznej rumuńskiej mieściny, zwracają się odtąd ciągle wstecz, ku tamtemu brzegowi.

Pragnąłem aby historia dni majowych napisana została w oparciu nie tylko na dokumentach, ale na świadectwach ludzi, którzy stali po obu stronach frontu, lub ściślej mówiąc barykady. Wspominałem o tym mym towarzyszom z obozu rządowego i serdecznemu przeciwnikowi, płk. Waleremu Sławkowi. Myślałem sam ją napisać, zgromadziłem wiele notatek i źródeł. Historia się nie ukazała, materiały, które zebrałem, spłonęły w powstaniu warszawskim. Dziś zdołam utrwalić tylko to co osobiście pamiętam, wiedząc z góry że opisy moje będą niepełne i jednostronne; liczę że wywołają sprostowania i uzupełnienia.

I

Jesienią 1925, przed wyjazdem na konferencję w Locarno, otrzymałem w Genewie, gdzie przebywałem jako przed protestem kolegów, gdy najnaturalniej w świecie głosował przeciw wnioskom, których przed chwilą bronił z płomienną wymową. Najbardziej kategorycznie narzucał swe poglądy, najgorzej znosił sprzeciwy gen. Sikorski. Znacznie giętszy i zgrabniejszy był, mimo celowo podkreślanej żołnierskiej szorstkości, gen. Sławoj Składkowski. Wiedział doskonale kiedy należy puścić wodze dyskusji, kiedy ją odłożyć lub nawet

dzono by opróżnione teki obsadził członkami pozostałych w popierającej go większości stronnictw, odpowiedział że nie wierzy w szanse Centroprawu.

— Zarazem przeciw woli marszałka Piłsudskiego i socjalistów trudno rządzić w Polsce, nie podobna w Warszawie.

Prezydenta Stanisława Wojciechowskiego prosił aby nalegał na przyśpieszenie układu między prawicą i

rozwiązanie i że zżę jednak Złoty Róg, którego sarnazwa działała magicznie na mojyobraźnię.

Nie minęły dwni gdy późnym popołudniem, led powróciłem z Wierzbowej, zadzwi do mnie Niedziałkowski. Z Gwy, gdzie kolegowaliśmy w delcji polskiej na Zgromadzenie Ligarodów, zacho-

minister spraw wewnętrznych chrześcijański demokrata, niegdyś minister pracy, poseł Stefan Smólski. Przy stole rady ministrów sąsiadowałem z premierem Witosem i energicznym ministrem skarbu Zdziechowskim.

Atmosfera była spokojna nie tylko dlatego że nie mąciły jej już nużące

ciłem się doń o niezwłoczne przybycie do Warszawy. Nazajutrz rano spotkaliśmy się na Wierzbowej. Przyznałem się że chodzi mi o rozbrojenie nie Europy, ale walk wewnętrznych. Byłem przekonany że tylko on, zadomowiony obok Komendanta w legendzie szef legionów, znany wszystkim żołnierzom długoletni minister

rwy, ograniczając się głównie do rejestrowania i zestawiania napływających z różnych stron sprawozdań. Wynikało z nich że w kraju, poza niektórymi oddziałami wojska i częścią kolejarzy, ogół społeczeństwa zachowywał pełny spokój, że w Wilnie patronuje akcji antyrządowej gen. Edward Śmigły-Rydz, że w Poznańskiem i na Pomorzu pierwsze wiadomości o gotującym się zamachu wywołały liczne odruchy oburzenia. Tymczasem zaczęli się do mnie kolejno zgłaszać koledzy z ministerstwa spraw zagranicznych aby uzgadniać odpowiedzi na coraz natarczywsze pytania stawiane przez obcych dyplomatów.

Byliśmy wszyscy zgromadzeni przy stole rady ministrów, gdy na salę wszedł niespodziewanie Prezydent Wojciechowski. Nie wiedzieliśmy wówczas że przyjeżdżał już po burzliwym spotkaniu na trzecim moście, ale trudno było nie zauważyć że jest w nastroju bojowym. Nie siadając, nie zdejmując palta i kapelusza, podkreślając swe słowa uderzeniem laski czy też parasola w stół, oświadczył — nie wiadomo czym powodowany — że znane mu są kompromisowe tendencje rządu, że on jednak buntu nie ścierpi i domaga się od nas takiej samej postawy. Witos ze zwykłym opanowaniem odpowiedział mu krótko i beznamiętnie, po czym odprowadził Prezydenta do samochodu.

Po wyjściu Prezydenta zdołałem upewnić się telefonicznie że moja rodzina wyjechała do Poznania i rozmówić się ze Skrzyńskim, który nalegał abym choć krótko wypoczął w jego mieszkaniu. Odmówiłem, rozumiejąc że pragnie wyciągnąć mnie z łodzi, na którą wsiadłem choć częściowo za jego namową a której zatonięcie przewidywał. W chwilę potem podszedłem z Józefem Lipskim, który przynosił mi ostatnie informacje z Wierzbowej, do okna sali wychodzącej na ogród i Wisłę. Wtenczas właśnie usłyszeliśmy pierwsze strzały, i odtąd w tym prostym stwierdzeniu, że to w zaledwie osiem lat po odzyskaniu niepodległości Polacy strzelają do Polaków, streścił się dla mnie cały tragiczny sens dalszych wydarzeń.

Walka rozgorzała i zbliżała się coraz bardziej. Późnym popołudniem premier Witos zaproponował członkom rządu przeniesienie się do Belwederu, by nie narazić się na odcięcie od Prezydenta i by zachować łączność z resztą kraju. Szczupłe oddziały wojska prorządowego nie mogły równocześnie osłaniać prezydium rady

GABINET WITOSA PRZED BELWEDEREM PO ZAPRZYSIĘŻENIU (1926)
Od lewej do prawej: gen. Juliusz Malczewski, Adam Chądzyński, Stanisław Grabski, Stefan Piechocki, Stefan Smólski, Stanisław Osiecki, Wincenty Witos, Władysław Kiernik, Jerzy Zdziechowski, Kajetan Morawski, Józef Radwan, Jan Jankowski, Mieczysław Rybczyński

waliśmy najlepsze, przyjacielskie stosunki. Niedziałkowski chciał mnie widzieć natychmiast w pilnej spra-

utarczki słowne między Stanisławem Grabskim a Barlickim, ale także ze względu na autorytet i prostotę z

spraw wojskowych, potrafi przeszkodzić wciągnięciu armii w rozgrywki polityczne. Generał nie oburzył się na mój podstęp. Ruszył na miasto,

dów, propozycję objęcia podsekretariatu stanu w ministerstwie spraw zagranicznych. Genewa była w tym czasie, niezależnie od chwiejności i słabości Ligi, punktem centralnym spotkań międzynarodowych i właśnie dlatego doskonałą szkołą udostępniającą zapoznanie się z zagadnieniami polityki światowej i z ludźmi, którzy o niej decydowali. Opuszczałem więc stanowisko moje z żalem, zdawałem urzędowanie następcy mojemu, dotychczasowemu delegatowi przy Międzynarodowym Biurze Pracy Franciszkowi Sokalowi, bez nadmiernego pośpiechu. Gdy dojechałem do Warszawy, zastałem sytuację w rządzie zmienioną. Minister spraw zagranicznych Aleksander Skrzyński objął premierostwo, przewodniczył jako bezpartyjny gabinetowi koalicyjnemu. Ponieważ sprawom międzynarodowym mógł poświęcać tylko ułamek swego czasu, zwiększało to moje uprawnienia i moją odpowiedzialność, upoważniało i zmuszało do stałego uczestnictwa w radzie ministrów. Zebrania gabinetu i częste obiady, na których gromadzili się u Skrzyńskiego w jego prywatnym apartamencie w pałacu Potockich, późniejszej siedzibie Polskiej Akademii Literatury, wybitni parlamentarni przedstawiciele koalicji rządowej, ułatwiały zapoznanie się z rozwojem sytuacji wewnętrznopolitycznej. Na wieczorach u Skrzyńskiego bywali najczęściej posłowie Ignacy Daszyński, Mieczysław Niedziałkowski, Jan Dębski, Stanisław Stroński i, do czasu wyjazdu do Rzymu, Stanisław Kozicki oraz senatorowie Bolesław Koskowski i Stanisław Posner. Pan domu, którego wbrew starannie pielęgnowanym pozorom nonszalancji cechowała wielka pracowitość i żądza wiedzy, korzystał z przeciągających się nieraz późno w noc dyskusji by uzupełnić braki powstałe wskutek długich pobytów za granicą w jego znajomości stosunków krajowych, a nawet psychologii Polaków.

Przypadek sprawił że choć oficjalnie wchodziłem tylko w skład krótkotrwałego gabinetu Wincentego Witosa, uczestniczyłem w wielkiej ilości posiedzeń rady ministrów w ciągu przeszło trzydziestu lat. Zaczęło się to w zaraniu niepodległości, gdy Władysław Skrzyński, podsekretarz stanu w rządzie Ignacego Paderewskiego, żądał abym mu towarzyszył na wszystkie nawet najpoufniejsze zebrania gabinetowe. Wiosną 1925 zastępowałem Aleksandra Skrzyńskiego, ówczesnego ministra spraw zagranicznych w gabinecie Władysława Grabskiego, podczas jego długiej podróży po Stanach Zjednoczonych. Po sprawowaniu funkcji wiceministra skarbu w latach 1937-1939, wypadło mi znów w okresie wojny dwukrotnie zastępować Edwarda Raczyńskiego, gdy sam lub towarzysząc gen. Władysławowi Sikorskiemu przebywał w Ameryce. Z tych długoletnich doświadczeń wyciągam wniosek, że umiejętność kierowania pracami rady ministrów nie zawsze idzie w parze z pozostałymi kwalifikacjami szefa rządu. System francuski, polegający na tym że zespoły ministerialne się zmieniają, ale zebraniom ich przewodniczy zawsze prezydent Republiki, wydaje mi się skuteczniejszy.

Za mej pamięci najgorzej chyba lub przynajmniej najkapryśniej prowadził obrady rządowe Paderewski. Tylko jego autorytet i pełen szlachetności wdzięk osobisty chronił go namiętności czy to szarżującego z kawaleryjskim impetem ministra sprawiedliwości, czy też broniącego swych zapatrywań z bezwzględnym ascetycznym uporem ministra rolnictwa. Władysław Grabski i Stanisław Mikołajczyk przewodniczyli spokojnie, rzeczowo, po dokładnym przestudiowaniu i z dużą znajomością rozpatrywanych przedmiotów. Witos zochowywał także na posiedzeniach własnego gabinetu cechujące go zawsze, niby niedbałe, a świadomie bardzo chłopskie wielkopaństwo. Do głowy mu nie przyszło udawać że zgłębił tematy technicznie złożone, i zostawiał je specjalistom. Wiedział natomiast i nie krył się z tym że zna technikę jedną, technikę polityczną, i że zawierzyć może własnemu zdrowemu rozsądkowi.

Rola Skrzyńskiego w firmowanym przezeń gabinecie była szczególnie delikatna i trudna. Premierem został jako outsider, ponieważ tak wypadło z obliczeń wchodzących w skład koalicji rządowej stronnictw, które przy podziale tek zachować chciały z góry ściśle oznaczoną równowagę. Te same stronnictwa delegowały do rządu szereg osobistości pierwszoplanowych o wyraźnie zarysowanej indywidualności i o znacznych wpływach w izbie. Wydawało się że nie premier dobrał sobie współpracowników, ale że ministrowie dobrali premiera i kilku fachowych kierowników resortów. Z ministrów parlamentarnych wybijali się na czoło kompetencją w zakresie powierzonych im działów Jerzy Zdziechowski, chyba najlepszy minister skarbu w okresie 20-lecia, i Władysław Kiernik, który choć prawnik a nie rolnik z zawodu, interesów wsi i rolnictwa bronił z wielką umiejętnością. Politycznymi protagonistami większości rządowej byli natomiast Stanisław Grabski i Norbert Barlicki, obaj pełni pomysłów i inicjatyw zwykle jak najbardziej rozbieżnych lub nawet przeciwstawnych. Łagodząc ich spory wnosił do wszelkich dyskusji element umiarkowania i rozwagi drugi przedstawiciel P.P.S. Bronisław Ziemięcki. Wraz z nim pomagał premierowi w laniu oliwy na fale wytworny i układny minister spraw wewnętrznych Władysław Raczkiewicz. Sąsiadujący z nim przy stole obrad, również bezpartyjny i również powołany za cichą zgodą marszałka Piłsudskiego, minister obrony narodowej, gen. Lucjan Żeligowski, odprężał atmosferę innymi metodami. Rozbrajał kolegów gabinetowych poczciwą lecz często zdumiewającą naiwnością swych wystąpień. W merytorycznym przedstawianiu zagadnień wojskowych zastępowali go zapraszani w tym celu wyżsi oficerowie z ministerstwa lub sztabu. Treściwością i jasnym rzeczowym ujęciem uderzały wówczas referaty pułkownika, późniejszego generała, Tadeusza Kutrzeby.

Groźniejsze dla losów gabinetu Skrzyńskiego od rozpraw w jego łonie były toczone równolegle w kulisach sejmu rozmowy. Stronnictwa narodowe i ludowe przygotowywały odrodzenie się Centroprawu, a więc bardziej zwartej i nie obejmującej już socjalistów koalicji. Przedstawiciele P.P.S. w rządzie wiedzieli o tym na równi z innymi i 21 kwietnia, powołując się na rozbieżności w ocenie danin publicznych, zgłosili dymisję.

Skrzyński zrozumiał iż oznacza to koniec jego gabinetu. Gdy mu dora-

żące i trzymał się na uboczu.

W pierwszych dniach maja zaszedł do niego niespodzianie Witos. Powiedział że chciałby porozmawiać dłużej, o ile możności z dala od atmosfery biurowej i oczywiście bez świadków. Urzędujący i przyszły premier siedli do samochodu i kazali się wieźć na Bielany. Tam chodząc po lasku przez dwie godziny, rozpatrywali sytuację i, co dowodzi raz jeszcze zręczności Witosa, wrócili pojednani.

Skrzyński prosto z Bielan zajechał do mnie na Wierzbową. Z pierwszych słów jego wywnioskowałem że uprzedzenia jego przeciw koncepcji Witosa już się rozwiały.

— On nie szuka rozgrywki z Piłsudskim, on chce po prostu porządku. Na politykę zagraniczną ma zdrowe poglądy. Pragnie ją odciąć od sporów wewnętrznych, prosi byś ty objął jej kierownictwo. Gdybyś nie chciał teki zachować, ściągnie następnie na nią Władysława Skrzyńskiego z Rzymu. Ja tymczasem pojadę do Genewy do Ligi Narodów. A na wypadek że po kierownictwie ministerstwem będziesz wolał wyjść ze służby zagranicznej, gwarantuje ci mandat do sejmu ze swego stronnictwa. Mnie zresztą czyni tę samą propozycję.

Byłem takim obrotem sprawy najzupełniej zaskoczony. Czyniłem przygotowania do wyjazdu do Konstantynopola, gdzie miałem przewodniczyć zjazdowi naszych posłów z Bliskiego Wschodu, nie miałem ambicji ani rządowych ani parlamentarnych, propozycja reasekuracji pod formą mandatu raczej mnie obruszyła. Nie podzieliłem więc entuzjazmu Skrzyńskiego i zastrzegłem sobie czas do namysłu. Znając płynność kombinacji osobowych w okresach kryzysu, nie traciłem nadziei że znajdzie się inne

Po chwili wpadł zdyszany do mego pokoju by mi ze zwykłą, trochę suchą powagą powiedzieć że wraca prosto z Sulejówka, że marszałek Piłsudski wie już o zrobionej mi przez Witosa za pośrednictwem Skrzyńskiego propozycji i że nalega bym ją przyjął. Spory wewnętrzne mogą zaostrzyć się w najbliższych dniach, trzeba aby polityka zagraniczna znalazła się poza ich nawiasem. On sam, Niedziałkowski, dołącza się do tych nalegań.

7 czy 8 maja zaprosił mnie Witos. Przyjmował już w Pałacu Namiestnikowskim. Rozmawialiśmy krótko, porozumieliśmy się szybko: obejmę kierownictwo, będziemy wspólnie szukali pełnoprawnego następcy, na mandat nie reflektuję. Rzeczowe, nie pozbawione humoru stawianie spraw przez Witosa bardzo mnie ujęło. Nie obraził się gdy mu powiedziałem że mam wątpliwości czy nadaję się na ludowca. Przypomniała mi się rozmowa z Posnerem, który mi jeszcze bardziej nieoczekiwanie proponował kandydowanie z ramienia P.P.S. Gdy mu zwróciłem uwagę, że nie jestem socjalistą, odpowiedział z wyrozumiałym uśmiechem:

— To nic nie szkodzi. Stanie się nim pan gdy pan zmądrzeje.

II

W nowym gabinecie zastałem wielu dawnych znajomych. Kierownicy ministerstwa robót publicznych prof. Mieczysław Rybczyński, ministerstwa pracy Jan Jankowski i ministerstwa reform rolnych Władysław Radwan reprezentowali wraz ze mną bezpartyjny element fachowy. Minister obrony narodowej gen. Juliusz Malczewski uchodził za sympatyka „Piasta", ale było to powiązanie bardzo luźne. Raczkiewicza zastąpił jako

Inaczej działo się jednak na mieście. „Kurjer Poranny" w artykułach wstępnych napadał gwałtownie na tak przez niego nazwany „rząd Chienopiasta". Oficerowie legionowi z płk. Bolesławem Wieniawą - Długoszowskim na czele manifestowali na ulicach i po kawiarniach za marszałkiem Piłsudskim, a przeciw Witosowi. W kołach robotniczych pogłębiało się od ustąpienia ministrów socjalistycznych niezadowolenie, wzrastały nastroje strajkowe. Posłowie lewicowi w sejmie uchwalili no wspólnym posiedzeniu klubów ostrą opozycję. Nad Warszawą zbierała się burza wiosenna, a wysłannicy nieśli ze stolicy na cichą jak dotąd prowincję płomienne wici.

Wróciwszy po jednym z pierwszych zebrań gabinetu wieczorem do domu, zastałem moją żonę w towarzystwie dwóch politycznie bynajmniej nie sympatyzujących z sobą osób. Adam Michał Zamoyski, niegdyś ochmistrz dworu Mikołaja II a obecnie prezes „Sokoła", i dawny mój kolega z ministerstwa spraw zagranicznych Roman Knoll, oczekiwali mnie od dwóch godzin. Każdy z nich wydawał się być zdecydowany przetrzymać drugiego. Gdy się to nie udało, wyszli równocześnie. Rozmawialiśmy tylko o rzeczach obojętnych, ale nie trudno było się domyśleć że wybierali się do mnie z tym samym, choć ujętym z dwóch różnych punktów widzenia, ostrzeżeniem.

Treści jego nie zlekceważyłem. Chwyciwszy natychmiast słuchawkę połączyłem się z Poznaniem, gdzie okręgiem wojskowym dowodził gen. Kazimierz Sosnkowski. Był on zarazem pierwszym delegatem polskim na konferencję rozbrojeniową. Pozorując więc moją prośbę ważnymi wiadomościami otrzymanymi z Genewy, zwró-

DELEGACJA POLSKA W GENEWIE (1925)
Siedzą: Franciszek Sokal, Mieczysław Niedziałkowski, Aleksander Skrzyński, Jan Dębski, Kajetan Morawski, Stanisław Kozicki.
Stoją: Mirosław Arciszewski, Michał Potulicki, Juliusz Łukasiewicz, Tadeusz Koźmiński, Leon Babiński, Tadeusz Gwiazdoski, Jan Modzelewski, Tytus Komarnicki, Paweł Morstin, Józef Kisielnicki, Henryk St-sburger, Leon Chrzanowski.

obiecał wrócić po południu. Zamiast tego zatelefonował do mnie wieczorem:

— Niestety, już za późno. Nie mogę odwrócić biegu wydarzeń. Wracam do Poznania.

Z głosu wyczułem jego osobistą i czekającą całą Polskę tragedię.

12 maja obudził mnie już przed 7-ą rano dzwonek telefonu. Poznałem charakterystyczny basowy głos Zamoyskiego. Nie wymieniając swego nazwiska uprzedzał mnie że wojska ruszają z kierunku Siedlec na Warszawę by obalić rząd. W chwilę potem zadzwonił do mnie sekretarz osobisty Witosa. Prosił w imieniu premiera o natychmiastowe przybycie do Pałacu Namiestnikowskiego.

Zastałem tam już kilku ministrów. Wkrótce zebrał się cały gabinet. Witos i gen. Malczewski oświadczyli nam że zarządzone jeszcze przez gen. Żeligowskiego ćwiczenia w Rembertowie stały się punktem wyjścia zamachu wojskowego. Zbuntowane oddziały maszerują z kilku stron na Warszawę, powołując się na rzekomy rozkaz czy wezwanie marszałka Piłsudskiego. Minister spraw wojskowych wydał już najpilniejsze kontrdyspozycje, ale wobec spisku wśród oficerów nie wiadomo gdzie i jak będą wykonane. Odkładając powzięcie zasadniczych decyzji do chwili otrzymania pełniejszych meldunków, premier zapytywał poszczególnych ministrów, jakie, każdy w swoim zakresie, składają wnioski doraźne. Zażądałem poddania komunikacji telefonicznej i telegraficznej z zagranicą kontroli wyznaczonych przeze mnie i wyposażonych w najszersze pełnomacnictwa wyższych urzędników mego resortu. Uzyskawszy zgodę rady ministrów udałem się do sekretariatu by porozumieć się z Józefem Potockim i Józefem Balińskim. Znając ich takt i rozwagę pewien byłem że z drażliwych funkcji cenzorskich wywiążą się skutecznie a bez wywoływania zadrażnień czy to z korpusem dyplomatycznym, czy z korespondentami zagranicznymi, czy wreszcie z samymi funkcjonariuszami pocztowymi, wśród których nastroje antyrządowe były prawdopodobnie dość rozpowszechnione.

Gdy powróciłem na salę posiedzeń, dialog premiera z poszczególnymi ministrami był na ukończeniu. Zgłosiłem się więc ponownie do głosu by zapytać czy bawiący w Spale Prezydent Wojciechowski został już o wydarzeniach ostatnich godzin powiadomiony. Witos złapał się za głowę i odrzekł że w nawale zajęć dotychczas ze Spałą się nie porozumiał. Uczyni to jednak natychmiast i poprosi Prezydenta o przyjazd do Warszawy.

Wyrzucałem sobie potem nieraz to niewczesne zapytanie. Postawiłem je, bo byłem wewnętrznie głęboko zawstydzony że wzorem niektórych nie dorosłych jeszcze do systemu parlamentarnego krajów, Polska szukać ma w pronunciamento wojskowym rozstrzygnięcia kryzysu władzy. Wydawało mi się że w sporze wewnętrznopolitycznym, który groził przybraniem tak gwałtownych form, tylko głowa państwa uśmierzyć może namiętności i odegrać rolę nadrzędną arbitra. Dalszy rozwój wypadków wykazał, jak mylnie oceniałem i sytuację i ludzi.

Na żądanie Witosa nie opuszczaliśmy Pałacu Namiestnikowskiego. Rada ministrów obradowała bez prze-

ministrów i na drugim krańcu miasta siedziby Prezydenta oraz lotniska mokotowskiego. Z wyjątkiem ministra Zdziechowskiego, który oświadczył że pojedzie czy pójdzie osobno, ruszyliśmy wszyscy wspólnie przez Krakowskie Przedmieście, Nowy Świat i al. Ujazdowskie. Długa karawana samochodów ministerialnych powitana została przez tłum licznie zgromadzony między Pałacem Namiestnikowskim a komendą miasta chóralnym śpiewem „Pierwszej brygady". Posuwaliśmy się jednak bez przeszkód i w miarę oddalania się od śródmieścia zauważaliśmy zmianę nastrojów. Po przekroczeniu al. Jerozolimskich natknęliśmy się na grupę wyższych oficerów z gen. Stanisławem Hallerem na czele. Zatrzymywali krążących po ulicach a zdezorientowanych rozwojem wydarzeń wojskowych i wyznaczali im Belweder jako punkt zborny. Bodaj jedynym zwartym oddziałem, jaki tam pełnił wówczas straż, była kompania przyboczna Prezydenta. Jej nieliczne wysunięte placówki dostrzegaliśmy zaledwie w zmroku jaki zapadał na rozgorączkowane miasto.

III

W Belwederze, przed zaimprowizowanym noclegiem na kanapach i fotelach, zrobiliśmy przegląd sytuacji. Prócz członków rządu w komplecie, zebrało się tam wielu generałów, głównie z dawnej armii austriackiej. Kryzys polityczny przeobrażał się w wojnę domową, rozstrzygnięcie przeszło z rąk polityków do rąk wojskowych. Dowództwo nad oddziałami prorządowymi objął gen. Tadeusz Rozwadowski. Rozporządzał minimalnymi siłami, ale oczekiwał rychłego nadejścia posiłków.

Pożno w nocy obudził nas przyjazd marszałka sejmu Macieja Rataja. Wespół z Prezydentem Wojciechowskim i premierem Witosem szukał środków zapobieżenia dalszemu rozlewowi krwi. Nadaremno. Próba sił była rozpoczęta, bez pełnej kapitulacji jednej ze stron trudno było ją powstrzymać.

13 maja rano położenie obozu rządowego znacznie się polepszyło. Nadciągnęły na odsiecz trzy pułki piechoty, z Wielkopolski i z Łowicza. Z miasta przesiąkali coraz to nowi ochotnicy. Szkoła podchorążych z płk. Gustawem Paszkiewiczem i mjr. Marianem Porwitem na czele, która już w przeddzień oderwała się od wojsk marszałkowskich i przez trzeci most wróciła do Warszawy, stawiła się niemal w komplecie. Posterunki rządowe, po czasowym odwrocie w ciągu nocy, osiągnęły znów linię al. Jerozolimskich.

Mimo obsadzenia centrali telefonicznej przez piłsudczyków mogliśmy jeszcze rozmawiać z miastem za pośrednictwem prezydium rady ministrów, które z kancelarią Prezydenta i poszczególnymi ministerstwami połączone były linią bezpośrednią. Z Pałacu Brühlowskiego telefonował do mnie minister Karol Bertoni. Prosiłem go o porozumienie się z szefami obcych placówek i wydanie zarządzeń dla zapewnienia im bezpieczeństwa. Tę część moich zleceń przyjął chętnie do wykonania, dodał jednak że wobec okupacji biur przez wojsko nie może podjąć się przekazywania oświadczeń o treści politycznej.

Wewnątrz Belwederu nastąpiło tymczasem terytorialne rozgranicze-

nie między rządem a dowództwem. Ministrowie zajęli parter, generalicja skupiła się na pierwszym piętrze. Dokonany na życzenie Prezydenta Wojciechowskiego podział odpowiadał nie tylko potrzebom praktycznym. Rząd nie zamierzał poddać się przemocy, ale nie akceptował wewnętrznie walki bratobójczej. Szukał elementów w celu rozwiązania kryzysu, który jak dotąd ogarniał raczej stolicę niż kraj. Rzeczą wojska było szukanie w walce, jakikolwiek by był jej charakter, zwycięskiego rozstrzygnięcia. Już wtedy było widoczne że Prezydent w nastrojach i ocenie zadań czuł się bliższy grupy wojskowej i starał się ją uchronić od kontaktów cywilnych.

Premier Witos rozumiał doskonale że opuszczenie stolicy zostałoby zrozumiane i przez społeczeństwo i przez zagranicę jako dowód słabości rządu, jako jego częściowa kapitulacja. Rozumiał również że nonsensem byłoby składanie decyzji co do przyszłego losu i ustroju Polski w ręce tych nielicznych oddziałów, które nieraz nawet przypadkowo, dzięki większej energii jednego z dowódców czy oficerów, biły się między Krakowskim Przedmieściem a al. Ujazdowskimi po tej czy tamtej stronie frontu. Z tego impasu zarysowało się tylko jedno wyjście: w południe 13 maja rada ministrów postanowiła zaopatrzyć dwóch swoich członków, ministrów Stefana Piechockiego i Stanisława Osieckiego, w szerokie pełnomocnictwa i wysłać ich poza obręb walk. Samolot wojskowy powiózł ich do Poznania.

I w samym wojsku zaczęły się jednak objawiać odruchy zrozumienia że narzucono mu rolę sprzeczną z jego ogólnopaństwowymi i ogólnonarodowymi zadaniami, że grozi mu od innej strony rozbicie jedności zbudowanej po r. 1918 z takim trudem na gruzach trzech armii zaborczych. Byli ministrowie czy też wiceministrowie spraw wojskowych, generałowie Stefan Majewski, Żeligowski i Aleksander Osiński zjawili się w Belwederze z propozycjami rozejmu. Prezydent przyjął ich jako zwierzchnik, który żąda tylko jednego, t.j. zgodnego z przysięgą bezwzględnego posłuchu.

Właśnie w chwili, w której trzej generałowie opuszczali gabinet Prezydenta, oddano mi przyniesioną poprzez front przez mego kuzyna, Krystyna Ostrowskiego, kartkę papieru, na której Knoll zawiadamiał mnie że jako mianowany przez marszałka Piłsudskiego komisarz objął urzędowanie w ministerstwie spraw zagranicznych. O fakcie samym już wiedziałem, ale nadesłanie meldunku było zastanawiające. Mógł on równie dobrze oznaczać że Knoll, dawny mój kolega, pragnie mnie zapewnić o zachowaniu mimo toczących się walk ciągłości prac ministerstwa, jak że daje mi do zrozumienia że przestaje uznawać władzę rządu a więc i moją. W kilka lat później zapewniał mnie Knoll, już wówczas poseł w Berlinie, że tylko pierwsza z tych wykładni odpowiadała jego zamiarom. Jakkolwiek bądź, Prezydent Wojciechowski zastosował interpretację odwrotną i, jak muszę przyznać, na pierwszy rzut oka bardziej prawdopodobną. Zażądał abym Knollowi odpisał iż zwalniam go ze służby a liśmy się tam wszyscy. Za godzinę czy dwie padnie Belweder. Trzeba zdecydować, co dalej.

Mimo przejęcia odpowiedzialnością i powagą chwili, nie mogłem się powstrzymać od obserwowania Prezydenta Wojciechowskiego. Zareagował jak dawny bojowiec, któremu inny kolega, niegdyś współredaktor „Robotnika", odmawiając posłuchu, psuje robotę. Oświadczył że posiada zapas rewolwerów, który może rozdzielić między członków gabinetu. Jeśli wojsko będzie musiało się wycofać, gotów jest z ministrami zatarasować się w Belwederze i bronić do upadłego.

Romantyczna koncepcja byłego rewolucjonisty najwyraźniej nie zachwyciła trzeźwego ludowca Witosa, nie znalazła również posłuchu u jego kolegów gabinetowych. Rząd nie zamierzał stawać na barykadzie i prowokować rodzaj Sądu Bożego, ale nie zamierzał też kapitulować. Postanowił, o ile to jeszcze okaże się możliwe, wydostać się z potrzasku, by odzyskać wolność działania i swobodę decyzji. Mimo sceptycyzmu wyższych dowódców, zaakceptował przedstawiony przez płk. Andersa projekt przebicia się w kierunku na Wilanów. Kierownictwo wyprawy objął, na zlecenie Prezydenta, sam projektodawca. Generałom rozdano karabiny. Stanowić mieli osłonę.

W chwili gdy opuszczaliśmy Belweder, odłączył się od grupy rządowej prof. Rybczyński. Na przełaj przez park wrócił wprost do domu. Reszta niezwykłego korowodu skierowała się ku Siekierkom. Na czele szedł płk. Anders z małym oddziałem żołnierzy, dalej w towarzystwie kapelana Prezydent Wojciechowski, jak zawsze sztywny, wyprostowany, w czarnym tużurku i meloniku, wreszcie ministrowie otoczeni zbrojną strażą generalską. Na wysokości koszar szwoleżerów padły pierwsze strzały. Prezydent, który odmówił zajęcia miejsca w jedynym towarzyszącym nam samochodzie, szedł nadal nieporuszony. Gdy płk. Anders zarządził krótki postój i z jakiegoś domu wyniesiono dla Prezydenta krzesełko, postawił je ostentacyjnie na środku drogi i siadł spokojnie w najdalej widocznym, najbardziej narażonym miejscu. Kul, które nad jego głową dzwoniły po okrytych pierwszymi wiosennymi pękami gałęziach, nie raczył zauważać.

Wryte w mą pamięć wspomnienie tego popołudnia majowego kojarzy się dziś w mych myślach z innym, świeższym. Tumany kurzu wznosiły się we wrześniu 1939 na traktach wołyńskich i podolskich, gdy długa karawana limuzyn rządowych przewijała się przez wsie szeroko rozsiadłe. Przed domy drewniane, okolone grzędami malw i słoneczników, wylegali milcząc ludzie miejscowi. Mówiono nam że że jedziemy organizować dalszy opór, w Kraju czy poza Krajem. Na twarzach zamkniętych tych co stali podle drogi czytałem jedno zdanie: panowie uciekają. Brzmiało jak gorzkie echo sienkiewiczowskiego opisu klęski pod Piławcami.

Podobnie wówczas, w maju 1926, rada ministrów aby nie poddać się przemocy, postanowiła przebić się do Wilanowa. Tylko słabsi, ustępliwsi mieli wstydliwie ukrytą i zahamo- oddziałów zgromadzonych w Wilanowie, ale i za duszę oporu przeciw zamachowi. Czuł, nie bez słuszności, że jego najtrudniej będzie przekonać.

Jako parlamentariusze ruszyli do Warszawy kapelan Prezydenta X. prałat Marian Tokarzewski i adiutant osobisty mjr. Kazimierz Mazanek. Mieli zgłosić się do marszałka sejmu Rataja, prosić go o spowodowanie zawieszenie broni i śpieszne przybycie do Wilanowa. Krótko po nich wyjechał płk. Kutrzeba, by ze sztabem marszałka Piłsudskiego uzgodnić dyslokację wojsk.

Wieczorna rozmowa z marszałkiem Ratajem, który przejął zastępczo funkcje Głowy Państwa, miała szczególny charakter. Los sprawił iż reprezentował to nowe co szło na Polskę, a czuliśmy że wewnętrznie solidaryzuje się z ustępującym gabinetem, że rozumie w pełni konieczność i tragizm jego ostatniej decyzji. Echo tych trudnych godzin spędzonych w Wilanowie dochodziło mnie jeszcze dużo później w dowodach życzliwości otrzymywanych odeń już za granicą w początkach drugiej wojny światowej a na krótko przed jego bohaterską śmiercią.

Nie pamiętam nazwiska oficera, który z ramienia wojsk marszałkowskich zgłosił się w Wilanowie by ustalić ochronę bezpieczeństwa Prezydenta i ustępujących członków rządu. Twierdził że zagrażają im uzbrojone bojówki, które nadciągają od Warszawy i nie stosują się do rozkazów wydanych regularnym oddziałom. Prosił zatem abyśmy do dnia następnego nie opuszczali mieszkalnego skrzydła pałacu, w którym rozgościliśmy się od przybycia. W kilku minut po jego wyjeździe padły na Wilanów trzy granaty. Jeden z nich uszkodził kościół, drugi oberwał gzyms nad oknami wyznaczonej nam kwatery. Strzały oddała bateria wchodząca w skład grupy gen. Stefana Dęba-Biernackiego. Czy spowodowało je nieporozumienie, czy były indywidualnym wyrazem opozycji antyrządowej nadmiernie gorliwego artylerzysty, trudno dziś rozstrzygnąć. Dość że wtenczas interpretowali je w sposób najczarniejszy minister rolnictwa Kiernik i zawsze przecież pełen rozmachu i nadmiernej nawet fantazji gen. Rozwadowski. Niespodziewany pesymizm gen. Rozwadowskiego, będący jakby przeczuciem jego późniejszego tragicznego losu, wzmógł się jeszcze, gdy zawsze pod tym samym pretekstem ochrony przed niezdyscyplinowanymi bojówkami, oficerowie, którzy przybyli przepraszać nas za naruszenie zawieszenia broni, zarządzili zamknięcie na klucz drzwi wejściowych i ustawili straż przed nimi.

Zmęczeni i wyczerpani trzema bezsennymi nocami, udaliśmy się na spoczynek. Dzieliłem pokój ze Stanisławem Grabskim. Jego ruchliwy, nawet niespokojny umysł nie przestawał pracować. Jak w Belwederze wciąż redagował oświadczenia, które w słowach wymownych ale nie zawsze odpowiadających przekonaniom kolegów gabinetowych uzasadniać miały postawę rządu, tak obecnie szukał namiętnie politycznego kompromisu. Znużony, na wpół przytomny, wyciągnąłem się na łóżku i oglądając machinalnie znajome twarze na stojącej obok fotografii z czyjegoś ślu- myśle wysuni kandydatury Bobrzyńskiego na prezydenta. Dyskutowano skład nowego gabinetu, któremu przewodnic miał Kazimierz Bartel. Aleksr Skrzyński informował mnie z jednego z krążących między Pragą a Wilanowem oficerów że rozwywanej mu teki spraw zagranych nie przyjmie. Okazało się później że udziału w rządzie odmawia socjaliści, których postawa, a łaszcza wywołanie strajku, byłyszcze w przeddzień dla powodzenia amachu rozstrzygające. Rozwój padków przybierał tak typowe dego rodzaju krwawych przesilechy komedii pomyłek.

VI

W niedzielę południe zawiadomił nas marszałek Rataj że nowy rząd utworzono a stroje uległy znacznemu uspokoju, i wezwał nas do powrotu do Warszawy. Wkrótce zajechała, by nas przewieźć, kolumna samochodów. Pojawił się także jeden z młodych posłów ludowych, który przestrzegał po ulicach plączą się jeszcze uzbrojone bojówki i wznoszą wrogie okrzyki przeciw Witosowi. Błagał premier był ostrożny, aby się ukrył przejeżdżając przez miasto nałożyć czarne okulary. Nie wytrzymałem powiedziałem że dla zmylenia napadników wystarczyłoby chyba zawiązać krawata. Młody ludowiec spojrzał na mnie z oburzeniem, ale Witos roześmiał się serdecznie i oświadczył że choć obie rady są równie dobre, żadnej z nich nie posłucha. Zdał wieźć się wprost do sejmu do marszałka Rataja i dopiero po odbyciu nim rozmowy udał się dalej do Krzchosławic.

W mieszkaniu moim na pl. Trzech Krzyży oczekiwali mnie Lipski i mój brat Tadeusz. Zastałem całe urządzenie w najwiętym porządku, tylko zbłąkana kula zabiła lustro w gabinecie. Napoczęte pudełko papierosów leżało na biurku w tym stanie w jakim je przed kilku dniami zostawiłem. Ten szczegół uderzył mnie specjalnie, bo jakni powiedziano, przez 24 godziny kierował u mnie oddział wojsk marszałkowskich i z ustawionego w oknie karabinu maszynowego oszeliwał al. Ujazdowskie. Obok papierosów znalazłem zapieczętowany list przyniesiony widocznie w czie mej nieobecności. Otworzywszy go stwierdziłem, że był to długi wywód, w którym wielki znawca spraw protokólarnych Bogdan Hutten-Czapski przekonywał mnie z powodzeniem się na kongres wiedeński że nie jestem tylko ministrem pełnomocnym, od czasu objęcia kierownictwa ministerstwa, mam prawo i nawet obowiązek używania przysługującego poza tym jedynie ambasadorom tytułu ekscelencji. Przyznaję że mimo całego szacunku dla erudycji i wdzięczności za życzliwość mego sędziwego przyjaciela, ani okoliczności, ani nastrój mój w danej chwili nie skłaniały mnie do przejęcia się poruszonym zagadnieniem.

Na noc zabrał mnie mój brat do swych teściów do Białego Domku we Frascati. Przy obiedzie i przez długie godziny następne opowiadał mi Zdzisław Lubomirski o swoich świeżych dwóch bytnościach u marszałka Piłsudskiego, kilkaremu 8 lat wcześniej Skrzyńskiego, który powodował się czasami osobistym uprzedzeniem i oceniając krytycznie pracę naszej placówki rzymskiej, upierał się aby jej szefa bądź to ostatecznie zwolnić, bądź też co najmniej przenieść w stan rozporządzalności.

W uprzejmej kurtuazji, z jaką minister Zaleski przyjmował mnie teraz, nie znalazłem śladu goryczy. Rozmowa nasza miała przebieg poprawny i łatwy, a wniosek mój, mimo raczej ostrego sformułowania, spotkał się z tym samym obiektywizmem i koleżeńskim zrozumieniem, których w ciągu lat następnych doświadczyć miałem jeszcze niejednokrotnie ze strony pierwszego po przewrocie kierownika polskiej służby zagranicznej. Dopiero gdy opuścił Pałac Brühlowski, uległy obyczaje w tym gmachu dość znacznej zmianie.

Zanim pożegnaliśmy się, uprzedził mnie minister Zaleski że w otoczeniu Marszałka komentuje się z najwyższym oburzeniem okólną instrukcję rozesłaną przeze mnie do naszych poselstw za granicą. Widząc moje zdziwienie wyjął z teczki depeszę podpisaną moim nazwiskiem i odczytał mi długi tekst bardzo gwałtowny a zawierający m.in. twierdzenie, że wobec podniesienia rokoszu „...marszałek Piłsudski wyjęty jest spod prawa". Mogłem odpowiedzieć jedynie że od 13 maja byłem odcięty od komunikacji z naszymi placówkami, nie wysyłałem więc żadnej w ogóle instrukcji; na pewno zaś przedstawiając zgodnie z moimi przekonaniami uzasadnienie postawy rządu nie byłbym w żadnym wypadku użył zwrotów uchybiających Marszałkowi a sprzecznych z bronioną przez nas zasadą praworządności. Opuszczając ministerstwo zastanawiałem się, jakie może być pochodzenie apokryfu.

Z pismem przyznającym mi bezterminowy i bezpłatny urlop w kieszeni wyjechałem do Wielkopolski, gdzie oczekiwała mnie moja żona wraz z dziećmi. Po drodze na wieś zatrzymałem się w Poznaniu. Zachodząc na śniadanie do Bazaru, spotkałem marszałka senatu Wojciecha Trąmpczyńskiego, dawnego adwokata i przyjaciela mojej rodziny, który przywitał mnie uroczyście jako jedną z ofiar buntu. Zaraz potem jednak, przy posiłku, który spożywałem wspólnie z nim i senatorem Tadeuszem Szułdrzyńskim, doszło między nami do drobnego starcia. Nie ukrywałem bowiem głębokiego wrażenia jakie wywarł na mnie rozkaz dzienny naczelnego wodza do wojska, równie szlachetny w treści jak w tonie. Do dziś dnia uważam iż rozkaz ten, który nad Polską jeszcze okaleczałą i rozdartą rozbrzmiał jak głos wawelskiego Zygmunta, góruje nad wszystkim co wyszło kiedykolwiek spod pióra marszałka Piłsudskiego, nawet nad przemówieniem przy złożeniu prochów Słowackiego na Wawelu. Pozostanie na zawsze pomnikiem pięknej poromantycznej polskiej prozy politycznej.

Kontrasty, kryjące się w przepaścistej duszy Piłsudskiego, miały jednak niebawem objawić się ponownie. Ze zdziwieniem, prawie ze wstydem, czytałem wywiad, w którym uzasadniał odmowę przyjęcia wyboru na Prezydenta Rzeczypospolitej. Powoływał się na rzekome zagrożenie życia córek, na mniej czy bardziej uro- do polskich placówek zagranicznych przy równoczesnym podpisaniu jej, zależnie od osoby adresata, nazwiskiem bądź to moim, bądź też premiera Witosa. Za dowód wyrobienia naszej służby zagranicznej poczytywać należy że wszyscy szefowie poselstw, nie wyłączając tak stanowczych przeciwników marszałka Piłsudskiego jak Kozicki, od niedawna minister pełnomocny w Rzymie, przeczytawszy radiotelegram schowali go starannie pod sukno. Tekst jego przedostał się jednak, wbrew wskazówkom ambasadora Alfreda Chłapowskiego a przez niedopatrzenie jednego z sekretarzy, do prasy francuskiej. Z Paryża wiadomość o nim dotarła do Warszawy zajętej już tymczasem przez wojska marszałkowskie.

Informacji tych słuchałem ze zrozumiałym zainteresowaniem. Zmuszony byłem jednak zachować je dla siebie i nie czynić z nich dalszego użytku. Były to bowiem czasy, kiedy młodzi oficerowie, kierujący się bardziej anarchicznym temperamentem niż poszanowaniem dyscypliny, napadali kolejno na Adolfa Nowaczyńskiego, ministra Zdziechowskiego i innych przeciwników politycznych. Uznaliśmy zgodnie z Bnińskim że póki panuje w Kraju prawo dżungli, ujawnianie nazwiska autora depeszy miałoby nieomal charakter donosu. Ze skierowanych do mnie w jeszcze kilka lat później słów płk. Sławka wyczułem iż w każdym razie on osobiście od pierwszej chwili wiedział, że ani Witos, ani ja nie pisaliśmy instrukcji. Czy znał jej pochodzenie i dalsze koleje, o to nie pytałem i nie umiałbym do dziś dnia powiedzieć.

Już nie poszczególnego incydentu, ale tła i podłoża politycznego całego zamachu majowego dotyczyła moja rozmowa z Knollem. Odwiedziłem go, przejeżdżając przez Berlin, gdzie kierował podówczas poselstwem przy rządzie niemieckim. Z Knollem znaliśmy się i kolegowaliśmy od pierwszych chwil istnienia ministerstwa spraw zagranicznych. Obecnie spotykaliśmy się po raz pierwszy po wizycie, którą mi złożył na pl. Trzech Krzyży — by mnie ostrzec o gotującym się przewrocie — i po meldunku nadesłanym mi w czasie walk do Belwederu. Przedstawiając motywy, które skłoniły go do powiadomienia mnie o komisarycznym objęciu zarządu ministerstwa, Knoll rozwiódł się szerzej nad swym udziałem w przygotowaniach do marszu na Warszawę. Nie ukrywał, że uczestniczył w nich od dłuższego czasu wspólnie z posłami z Klubu Pracy i z szeregiem osobistości, które znalazły się następnie w składzie pierwszego pomajowego gabinetu lub w jego przybudówkach. Zdaniem jego, ta właśnie komórka, a nie dopiero później z nią powiązana konspiracja wojskowa, skupiała w rękach swych inicjatywę i właściwe kierownictwo. Głównym celem jej było niedopuszczenie do utrwalena się Centroprawu jako systemu politycznego wciągającego ruch ludowy w orbitę idei nacjonalistycznych. Dążąc do państwa narodowościowego, nie narodowego, żywiąc przekonania jeśli nie antykatolickie to w każdym razie antyklerykalne, spiskowcy, mimo zabarwienia demokratyczno-liberalnego, rozumieli że wobec układu stosunków społecznych w Polsce programu swego nie urzeczywistnia na drodze parlamen- Bartla była względna. Ale rysunek na ostatniej stronie tego pisma, zatytułowany „Piłsudski-girls" a przedstawiający żwawo hasających pułkowników, stanowił trafną zapowiedź, w jakim kierunku potoczą się dalsze wypadki, jak bardzo odbiegną od życzeń tej części zamachowców, którzy walkę z Witosem podjęli z myślą o utworzeniu rządu robotniczo-chłopskiego. Rozgrywka w wojsku, by zaczerpnąć określenie znów z tego samego, Cyrulikowego, źródła, nosiła cechy austro-polskiej wojny sukcesyjnej. Usunięcie takich tuzów wiedeńskiej Kriegsakademie, jak gen. Stanisław Haller, gen. Rozwadowski, i zastąpienie ich młodszymi, przeważnie legionowego pochodzenia dowódcami, było tego oznaką. Kolejne przesunięcia w rządzie i w parlamencie, w życiu zorganizowanego w państwie narodu, wydawały się paradoksalnie sprzeczne z własnym punktem wyjścia, z własnym założeniem.

Prasa jest zazwyczaj odbiciem rzeczywistości, którą mimo najsprawniej zorganizowanych poczynań redakcyjnych trudno ponad pewną miarę przeinaczyć. Nic dziwnego że bezpośrednim skutkiem krwawej majowej komedii pomyłek było najpierw niezwykłe wzmożenie klepsydr w „Kurjerze Warszawskim", następnie powstanie nowego o wysokim poziomie pisma humorystycznego. Czarne obwódki ogłoszeń „Kurjera" i pozornie nonszalanckie rymowane czy rysowane kpiny „Cyrulika" pozostały dokładniejszym i cenniejszym od namiętnych artykułów wstępnych „Głosu Prawdy" dokumentem epoki.

Z odległości łatwo dzić dostrzec że każda z grup przygotowujących zamach lub torujących mu drogę do zwycięstwa, czy to przeciwni koncepcjom narodowym postępowi intelektualiści, czy strajkujący kolejarze i robotnicy, czy wreszcie spragnieni powrotu Komendanta legioniści, zmierzała właściwie do innego celu. Pokrywający ich rozbieżności swą szarą maciejówką Piłsudski, tak nieraz władczy i bezwględny, właśnie w dniach walki o rządy robił wrażenie człowieka zatroskanego i zaskoczonego, człowieka który daje się powodować biegowi wydarzeń lecz nim nie kieruje. Zbyt kochał armię, którą sam tworzył i wiódł do zwycięstwa by nie boleć nad jej rozdarciem. Zbyt dobrze znał Warszawę by nie rozumieć że cała z konieczności przerażająca się w bratobójczą walkę t.zw. demonstracja wojskowa była tragicznym nieporozumieniem; że gdyby stanął na trzecim moście sam, a nie na czele zwartych oddziałów, ci sami peowiacy, robotnicy, żołnierze, którzy następnie zdecydowali o jego zwycięstwie, byliby go bez jednego wystrzału na rękach zanieśli do Belwederu. Bo taki był nastrój stołecznej ulicy. Nie przemawiał do jej wyobraźni popularny na wsi dalekiej chłopski strój Witosa, a uroczysty czarny tużurek Prezydenta nie potrafił jej zastąpić legendarnej kurtki legionowej, w której przywykła była widywać pierwszego Naczelnika Państwa.

„C'est pire qu'un crime, c'est une faute" — mawiał Talleyrand o rozstrzelaniu księcia d'Enghien. Zamach majowy, w tej formie w jakiej go dokonano, był nie tylko taktycznie niewytłumaczalny, krył w sobie głębokie wewnętrzne przeciwieństwa.

sprawę o złamanie przysięgi służbowej skierowuję do prokuratora. Odpowiedź tego rodzaju wydała mi się tak niewspółmierna z położeniem i realnymi możliwościami rządu oraz z nieuchronnym w każdej wojnie domowej zamieszaniem pojęć, że odmówiłem stanowczo. Po dość ostrej wymianie słów stanęło na tym iż meldunku nie przyjmę do wiadomości i odmówię potwierdzenia odbioru.

Na mieście zjawiły się tymczasem odezwy P.P.S., wzywające do strajku powszechnego w celu obalenia rządu Chjenopiasta i zastąpienia go rządem robotniczo-włościańskim. Dawało to zamachowi wojskowemu złudną, jak się następnie okazało, podstawę polityczną, zmieniało nie tylko charakter walki, ale i szanse zwycięstwa. Obie strony oczekiwały posiłków. O dotarciu ich do Warszawy zdecydodować mieli kolejarze. Wileńska dywizja legionowa nadjechała bez przeszkód, oddziały poznańsko-pomorskie pod dowództwem gen. Kazimierza Ładosia począwszy od Kutna z trudnością torowały sobie drogę.

IV

Korzystając z uzyskanej przewagi liczebnej wojska marszałkowskie przystąpiły w piątek 14 maja do generalnego ataku. Pod ogólnym kierownictwem gen. Rozwadowskiego, z którym na szczeblu sztabowym współpracowali przede wszystkim gen. Stanisław Haller i płk. Kutrzeba, obronę najbardziej zagrożonych odcinków rządowych objęli gen. Anatol Kędzierski, gen. Marian Kukiel, płk. Władysław Anders i płk. Paszkiewicz. Mój współpracownik z ministerstwa, specjalista od prawa międzynarodowego Stanisław Małachowski, który jako ochotnik walczył na lotnisku, gdy tylko następowała przerwa w akcji, informował mnie o wzmagającym się naporze przeciwnika i wciąż pogarszającej się, wobec dyproporcji sił, sytuacji.

Dwa epizody z tego decydującego kilkugodzinnego okresu utkwiły mi szczególnie w pamięci. Asystowałem przypadkowo przy przybyciu dawno oczekiwanego łącznika od grupy gen. Ładosia, która dotarła nareszcie na przedpole Warszawy. Gen. Rozwadowski wydał polecenie by okrążając miasto, skierowała się na Mokotów. Popierany przez ministra Adama Chądzyńskiego, gen. Michał Żymierski zgłosił gotowość przeprowadzenia wojska jak najkrótszą drogą. Spotkałem wtenczas po raz pierwszy przyszłego marszałka Polskiej Republiki Ludowej i miałem wrażenie zdecydowanie ujemne. Nie do mnie należało jednak wkraczać w zorządzenia wojskowe. Żymierski otrzymał misję, o którą sam się dopraszał, i czy to świadomie, czy dzięki niesprzyjającym okolicznościom, nigdy jej nie wykonał. Grupa Ładosia nadciągnęła z opóźnieniem, które ją z rozstrzygnięcia walk o Warszawę wyłączyło.

Około południa stałem na dziedzińcu belwederskim w towarzystwie ministra Jankowskiego. Świszczące coraz bliżej kule mówiły same za siebie o rozwoju wydarzeń. Ujrzeliśmy wkraczającego w bramę płk. Andersa. Nadchodził zziajany i zmęczony wprost z Mokotowa, utykał na jedną nogę, świeżo odniesionej rany nie zdążył jeszcze opatrzyć. Powiedział nam krótko że wobec dysproporcji sił nie zdołamy utrzymać lotniska. Meldunek sytuacyjny złoży w gabinecie Prezydenta. Po chwili zebrawaną chwilę zwątpienia. A jednak pamiętam, jak idąc przez park belwederski i pola siekierzyńskie, mówiłem do pełnego energii i determinacji ministra Zdziechowskiego że nie wiadomo jak przyszłość osądzi nasz dygnitarski bieg na przełaj. Może to co wedle naszych intencji było aktem odwagi, uzna za ucieczkę? Bo na ocenie ostatecznej więcej niż nasza wewnętrzna postawa zaważą reakcje z zewnątrz oraz opinia i talent przyszłego dziejopisa.

V

Po dotarciu do Wilanowa, w prawym mieszkalnym skrzydle pałacu przy okrągłym stole, pod wielkim portretem Stanisława Potockiego na koniu, zebrała się rada ministrów. Nim zaczęła obradować Witos pochylił się do mnie i szepnął na ucho:

— Jak pan myśli, co by też powiedziała hrabina Branicka widząc że taki cham rozsiada się w jej salonie?

Powtarzałem te słowa później w Montrésorze p. Ksawerowej Branickiej. Odrzekła bez wahania:

— Byłabym go na pewno powitała nie tylko z należnym premierowi szacunkiem, ale z serdeczną gościnnością.

Tymczasem napływały w ślad za nami ostatnie meldunki z Warszawy. Lotnisko padło. Belweder był otoczony i prawdopodobnie już zajęty. Grupa gen. Ładosia zatrzymała się przed wkroczeniem do miasta i jak się wydawało, zmieniła kierunek. Gdzie znajdowała się obecnie, nie było wiadome. Zastanawialiśmy się nad wnioskiem postawionym bodaj przez ministra Zdziechowskiego by członkowie rządu próbowali pojedynczo lub grupami przedostać się do Poznania i połączyć z przebywającymi już tam ministrami Osieckim i Piechockim. Prezydent miał ich wyprzedzić zabranym z Belwederu samochodem. Ale czy decyzja taka nie pogrążyłaby kraju przynajmniej na najbliższe dni w anarchii, czy walki uliczne w Warszawie nie przerodziłyby się w wojnę między nie dość jeszcze zrośniętymi dzielnicami? Wątpliwości przecięła przyniesiona w czasie obrad odpowiedź gen. Sikorskiego na skierowane doń do Lwowa wezwanie. Gen. Sikorski donosił że ani sam nie przybędzie, ani wojsk do stolicy skierować nie może. Wieści z Warszawy wywołały w Małopolsce Wschodniej niebezpieczne wrzenie, znad granicy meldują o ruchach wojsk na terytorium sowieckim. Przeciąganie się konfliktu w Warszawie może mieć nieobliczalne następstwa.

Po półtoragodzinnej dyskusji zapadła o 7-ej wieczór uchwała zgłoszenia dymisji rządu. Równocześnie Prezydent Rzeczypospolitej postanowił zrzec się urzędu. Jako motywy przytoczono że „przedłużenie walki doprowadzi do wojny między poszczególnymi dzielnicami Rzeczypospolitej" i że „konieczne jest użycie całości wojska dla obrony granic Rzeczypospolitej taką wojną zagrożonych". Wpływ depeszy gen. Sikorskiego na to ujęcie jest widoczny.

Przed wyciągnięciem dalszych wniosków z powziętej decyzji Prezydent Wojciechowski wyraził życzenie poinformowania o niej płk. Andersa w obecności generałów Rozwadowskiego i Stanisława Hallera oraz całego gabinetu. Właśnie tego stosunkowo wiekiem i rangą młodego oficera uważał bowiem nie tylko za dowódcę bu, słuchałem tylko częściowo wartkich słów Grabskiego, który wywodził że najważniejszy jest wybór odpowiedniego Prezydenta Rzeczypospolitej i że stanowisko to objąć powinien, nie pamiętam już z jakich powodów, dawny przeciwnik jego jeszcze z przedwojennych, galicyjskich czasów, prof. Michał Bobrzyński.

Po krótkiej wizycie gen. Rozwadowskiego, który obchodził sypialnie by nas uprzedzić że noc może być niespokojna, usnęliśmy nareszcie. Około 3-ej rano zbudził mnie gwałtowny hałas, łomotanie drzwiami i czyjś gniewny, podniesiony głos. Zerwaliśmy się z łóżek. Grabski chwycił za rewolwer, którego ja nie posiadałem, i wyjrzeliśmy na korytarz. Okazało się, że to płk. Kutrzeba wrócił z Warszawy po rozmowach w sztabie głównym i zastawszy drzwi zaryglowane oraz straż przed nimi, na swój sposób przywracał jedność w wojsku. Zbeształ mianowicie od ostatnich oficerów marszałkowskich odpowiedzialnych za te zarządzenia i z własnego autorytetu natychmiast je odwołał.

Wczesnym rankiem żegnaliśmy odjeżdżającego do Spały Prezydenta Wojciechowskiego. W kilka chwil później meldował się u gen. Rozwadowskiego mój kuzyn, płk. Witold Morawski. Przybywał jako łącznik od grupy gen. Ładosia, w której pełnił obowiązki szefa sztabu. Długo, to siłą, to perswazją, torował sobie drogę poprzez okalający Wilanów łańcuch wojsk marszałkowskich, nie wiedział o dymisji rządu i Prezydenta, przywoził zapowiedź odsieczy. Gorętsze głowy wśród polityków i oficerów chciały, mimo postanowień dnia poprzedniego, skorzystać z okazji i podjąć ponownie projekt przebijania się do Poznania. Stanowczo sprzeciwił im się Witos, oświadczając iż nie po to bronił konstytucji aby teraz samemu ją łamać. Grupa gen. Ładosia, tak jak i reszta wojsk, zastosować się powinna do zleceń marszałka Rataja i przez niego wyznaczonych władz.

Ostatni dzień wojny domowej spędziliśmy spokojnie, by nie powiedzieć idyllicznie. Na ławce w parku wilanowskim czytał mi rtm. Adam Sołtan, zdrów i cały, opis własnej swej bohaterskiej śmierci. Jakiś poniesiony wyobraźnią dziennikarz nakreślił w porannej prasie sienkiewiczowskim piórem wszystkie jej szczegóły. Nie wiem czy nie był to dzielny redaktor Mieczysław Wajnryb, ten sam który przebiegając z notatnikiem w ręku przez ostrzeliwane ulice rzucił powstrzymującemu go oficerowi historyczną odpowiedź:

— Co znaczy kule? Ja jestem prasa!

Na tej samej ławce przysiadł się do nas płk. Paszkiewicz i dowodził nam że sercem był od początku walk po stronie Marszałka. Tylko poczucie obowiązku nakazało mu opowiedzieć się za rządem. Nadszedł następnie gen. Włodzimierz Zagórski snujący plany wyjazdu za granicę, by tam pracować w lotnictwie cywilnym. Przypominałem sobie te projekty nieraz po jego tajemniczym zniknięciu i odnosiłem się dlatego sceptycznie do często powtarzanej a dziś już chyba nie ulegającej wątpliwości wersji że został przez niewiadomych sprawców zamordowany.

Rozmowy między ministrami miały charakter bardziej polityczny. Prof. Stanisław Grabski obstawał przy ponie siedzieli, [illegible] nieniem Rady Regencyjnej przekazywał władzę. Pierwszy raz jeździł do niego jeszcze na Pragę próbując pośredniczyć w zawieszeniu broni. Marszałek przyjął go na dworcu kolejowym. W przeciwieństwie do bojowo nastawionego otoczenia, wydawał się posępny i przygnębiony. Odpowiedział jednak że kiedy wbrew jego woli padły strzały, za późno już lub za wcześnie na układy. W trzy dni potem, już po zakończeniu walk, prosił go Marszałek o ponowne przybycie, tym razem do komendy miasta. W obecności Sławka, podkreślając że to jest jeden z przyjaciół przed którym nie ma tajemnic, nalegał aby Lubomirski przyjął prezydenturę Rzeczypospolitej.

— Lewica — mówił — będzie się zapewne krzywdziła, ale mimo to posłucha moich wskazówek. Centrum postąpi tak samo. A jeśli chodzi o resztę izby, to książę jest jednym z niewielu kandydatów, którzy mogą otrzymać głosy zarówno endeków jak mniejszości narodowych. Po walkach wewnętrznych nastanie więc zgoda.

Były regent nie dał się przekonać. Blaski i cienie władzy były mu już znane, układ sił w sejmie oceniał odmiennie. dla Marszałka miał wiele szacunku, łączyła go z nim przedtem i potem więź szczerej ludzkiej sympatii, ale zamach wojskowy potępiał i za walkę bratobójczą nie chciał nawet pośrednio brać odpowiedzialności. Zdanie swe i w tym wypadku, tak jak nieraz później, zwłaszcza po procesie brzeskim, wypowiedział z otwartością, na którą wobec wielkiego samotnika z Belwederu mało kto inny mógł sobie pozwolić.

Rankiem następnego dnia zebrało się we Frascati wielu moich kolegów i współpracowników z ministerstwa spraw zagranicznych. Przyszli by się naradzić jak dalej postępować. Niektórzy zgłaszali chęć manifestacyjnego podania się do dymisji. Przechadzając się z nimi po parku, starałem się ich przekonać że w interesie ciągłości naszej polityki nikt dobrowolnie zajmowanego stanowiska opuszczać nie powinien. Przypuszczałem że i tak naciski na mego następcę w kierunku przeprowadzenia czystki będą znaczne. Odmiennie oceniałem tylko własne położenie, aczkolwiek z chwilą dymisji gabinetu stałem się znów automatycznie urzędnikiem w służbie czynnej. Odczytałem kolegom krótkie pismo do nowego kierownika ministerstwa, w którym prosiłem o bezterminowy i bezpłatny urlop. Wniosek mój uzasadniałem przeświadczeniem że dostosowując się do nowych warunków, dyplomacja polska w ocenie wydarzeń ostatnich dni kierować się będzie musiała oportunizmem, na który mnie nie stać wobec pełnej solidarności z postawą zajętą przez poprzedni rząd.

W godzinę potem doręczałem pismo tak ujęte ministrowi Augustowi Zaleskiemu. Przyjął mnie siedząc za biurkiem, w którego szufladach znajdowały się jeszcze pozostawione przeze mnie papiery i akta. 15 dni wcześniej rozmawialiśmy w tym samym gabinecie w sytuacji politycznie i hierarchicznie odmiennej. Zaleski, odwołany z Rzymu i mianowany posłem w Tokio, uważał że stała mu się krzywda. Miał żal do mnie za to przeniesienie i robił mi wyrzuty. Nie mógł wiedzieć że wywalczyłem je z trudem, przełamując opór [illegible] jone strzały, które padły opodal jego domu w Sulejówku. W chwili, w której tyle rodzin polskich okrytych było żałobą najboleśniejszą, wywodzącą się z bratobójczej walki, nie przystało właśnie temu, pod czyim wezwaniem dokonano zamachu, względami osobistymi uzasadniać postanowień o znaczeniu państwowym. Spod delii, którą zwycięzca zarzucił na ramiona, i którą, przyznać to trzeba, nosił wspaniale, po hetmańsku, wyjrzał strzęp małości.

VII

Zaczął się więc drugi okres międzywojennego 20-lecia. Walki wewnętrzne mają to do siebie że trudniej wyrównać wyrządzone przez nie szkody moralne niż szkody materialne, że dawno już zanikł ślad po stawianych na mieście barykadach, a przedział między ludźmi, którzy stali po różnych ich stronach, nadal trwa i nawet się pogłębia. A w przeciwieństwie do wojen narodowych i przewrotów społecznych, tak utrwalona linia podziału jest nieraz przypadkowa i rozumowo niewytłumaczalna.

Brak wzajemnej wyrozumiałości i zdolności do kompromisu stanowi jedną z cech naszego narodu. Mamy za to, jako odpowiednik politycznej pobudliwości i gwałtowności doraźnych ocen, skłonność do zapominania, w miarę upływu czasu, minionych uraz. Po odzyskaniu niepodległości wielu aktywistów i pasywistów dobrej woli wierzyło szczerze że ich przeciwnicy są wyrazicielami interesów obcych. Zarzucano sobie wzajemnie moskalofilstwo i służbę państwom centralnym. Zmuszeni do współpracy jedni i drudzy zrozumieli rychło bezzasadność dawnych podejrzeń. Pomajowe różnice były trudniejsze do zatarcia, bo mimo marginesowych objawów, jak czwarta brygada i kadzichłopstwo, podział na zwycięzców i zwyciężonych przetrwał usztywniony w zachowanym do wybuchu drugiej wojny światowej systemie rządów monopartyjnych.

Jak wszyscy moi współcześni — a może bardziej jeszcze, bo odcięty zostałem od pracy w którą kładłem cały entuzjam mej młodości — wracałem nieraz myślą do kilku krótkich a tak brzemiennych w skutki dni majowych. Wracałem do nich też w rozmowach. Dwie z nich uzupełniają w sposób szczególnie wyrazisty moje osobiste wspomnienia.

W rok czy półtora po przewrocie wyjaśnił mi mój przyjaciel, Adolf Bniński zagadkę rzekomo podpisanego przeze mnie okólnika do placówek. Autorem jego był prof. Stefan Dąbrowski, niegdyś poseł na sejm i przez krótki okres czasu parlamentarny podsekretarz stanu w ministerstwie spraw zagranicznych. Prof. Dąbrowski, człowiek szlachetny ale porywczy, stosujący do zagadnień politycznych kryteria przyrodnicze przy nieukrywanej pogardzie dla norm prawnych, przyniósł na wiadomość o walkach w Warszawie do województwa poznańskiego zredagowaną przez siebie odezwę propagandową przeznaczoną dla zagranicy. Wojewoda Bniński, zapoznawszy się z jej treścią, odmówił zgody na jej rozesłanie. Inaczej postanowili jednak przybyli samolotem z Warszawy ministrowie Osiecki i Piechocki. Nie tylko udzielili odezwie aprobaty ale uważając że posiadają upoważnienie do działania w imieniu wszystkich kolegów gabinetowych, nadali jej charakter urzędowy i rozesłali drogą radiową [illegible] tarnej. Oglądali się zatem na pomoc robotniczych związków zawodowych, z którymi mieli łączność przez niektórych tylko posłów z P.P.S., i przede wszystkim wojska. W tym miejscu powiedział Knoll rzecz zdumiewającą. Twierdził bowiem, że przyjaciele jego wahali się długo na kogo mają stawiać, na marszałka Piłsudskiego czy na gen. Sikorskiego. Dopiero wielokrotne sondaże w kołach armii wykazały że nazwisko Piłsudskiego, choć niebezpieczniejsze, bo przedstawiające samo w sobie nieco odmienne hasła polityczne, pociągnie więcej i bardziej zdecydowanych oficerów. Od tego czasu zacieśniły się kontakty z grupującymi się około gen. Gustawa Orlicz-Dreszera i płk. Wieniawy-Długoszowskiego legionistami.

Ścisłość tej wersji, podanej przez jednego z niewątpliwych współtwórców przewrotu lecz odbiegającej znacznie od utrwalonych powszechnie zapatrywań, trudno ocenić bez zbadania innych równie wiarogodnych źródeł. W tym miejscu przypomnę tylko że Knoll, który w ostatnich latach życia pod okupacją niemiecką objawiał głęboką, bliską mistycyzmu, religijność, związany był poprzednio z ideologią wolnomyślicielską a prawdopodobnie i wolnomularską. Słuchając jego barwnych a świadomie ostro obrysowanych opowiadań, liczyć się należało z jego pociągiem do operowania paradoksem. Znaliśmy się jednak zbyt dobrze i rozmowa nasza w Berlinie miała wydźwięk zbyt szczery i poważny bym mógł posądzać go o zamiar mistyfikacji.

Nie bez związku z wykładnią daną przez Knolla pozostaje może inna otrzymana zupełnie odmienną drogą wiadomość. Jeden z posłów naszych na Bliskm Wschodzie otrzymywał od swego brytyjskiego kolegi, z którym łączyła go dawna osobista zażyłość, udzielane z daleko posuniętą otwartością, informacje o polityce rządu Jego Królewskiej Mości. Z tego więc źródła doszedł mnie już po wypadkach majowych list wysłany kurierem dyplomatycznym, ale adresowany do mnie osobiście. W liście znalazłem odpis depeszy okólnej wystosowanej o dwa tygodnie wcześniej przez Foreign Office. Depesza wyrażała się przychylnie o opozycji przeciw formującemu się gabinetowi Witosa, zapowiadała, że gabinet ten zostanie siłą usunięty, i stwierdzała, że taki obrót rzeczy odpowiada interesom brytyjskim. Jako motyw podawała, że Witos a zwłaszcza minister skarbu Zdziechowski sprzeciwiają się zalecanej przez Wielką Brytanię kontroli Ligi Narodów nad polską polityką gospodarczą. Przywódcy opozycji wykazują natomiast wiele więcej zrozumienia dla konieczności współpracy młodego państwa z instytucjami międzynarodowymi!

Przesłany mi odpis, jako dotyczący spraw publicznych, zwróciłem ministerstwu spraw zagranicznych.

VIII

Socjalista trąbił Martel,
I wtem przyszło mu do głowy:
Miał być lewicowy kartel
A jest Bartel prawicowy.

Taką fraszką, pióra Lechonia, witał nowopowstały po wypadkach majowych „Cyrulik Warszawski" nie oczekiwany dla wielu z najczynniejszych uczestników zamachu obrót sytuacji politycznej. Prawicowość Był rokoszem podniesionym pod pozorem walki z anarchią i samowolą, był uderzeniem w praworządność dokonanym w imię człowieka, który jak nikt inny sławił znaczenie pieczątki państwowej w dziejach narodu.

Psychologia Polski 20-lecia różniła się głęboko od psychologii społeczeństw, które nieprzerwanie korzystały z dobrodziejstw i przywilejów niepodległości. Żłobiły ją dwa prądy, oba zrodzone w okresie rozbiorów, oba biorące swój początek w górnych rejonach uczuć i myśli. Mit posługującego się państwem jako koniecznym narzędziem ale trwalszego odeń i nadrzędnego narodu miał śmiałego i wytrawnego rzecznika w Romanie Dmowskim. Mit państwa, które w przeszłości jagiellońskiej było wspólnym domostwem kilku narodowości, znalazł chorążego w Piłsudskim. Tradycja polskości i tradycja Rzeczypospolitej szukały dopiero nowej syntezy. Witos, przywódca szarej masy chłopskiej, mało obciążonej wizją przeszłości, w której na równych prawach nie była obecna, odnosił się do obu tych pojęć mniej uczenie, mniej wzniośle a bardziej po gospodarsku. Niedawne, jeszcze galicyjskie, przeszkolenie polityczne oraz trzeźwe, sięgające poza kuluary sejmu i rogatki warszawskie spojrzenie na wiejską rzeczywistość Polski odrodzonej uczyły go że „chłop potęgą jest i basta!". Myślał i czuł po polsku, więc był narodowcem bardziej z instynktu niż z teorii. Wiedział z doświadczenia że wóz państwowy, na którym wszyscy wspólnie siedzą, trzeba smarować, aby osie się nie zagrzały. Politycznie lubił czasem pochytrzyć, bo dlaczego pan lub żyd mieli być mądrzejsi, ale zżymał się gdy niektórzy z jego popleczników dla rozgrywki taktycznej gotowi byli poświęcić sedno sprawy. Był zachowawcą jak często ludzie związani z ziemią, lecz przede wszystkim był demokratą, bo przecież tylko z prawa równego dla wszystkich wziął swój początek cały ruch ludowy. Posłowanie w Wiedniu, gdzie nie zawsze rzeczy układały się łatwo i dobrze, wpoiło weń poszanowanie dla wolnej gry sił parlamentarnych, a centralna pozycja Klubu Piasta w sejmie polskim ułatwiała mu współpracę to z prawicą, to z lewicą.

Postępowanie w ten sposób uważał za swe niezaprzeczalne prawo.

Przyczyniał się więc, świadomie czy nieświadomie, do wytwarzania się wśród nieuchronnych wahań i błędów nowej, opartej mniej na teorii i tradycji niż na praktyce dnia codziennego, polskiej racji stanu. A ciągłość narodowa i ciągłość państwowa odnajdowały stopniowo, samoczynnie w jej ramach należne im miejsca.

By wyplenić partyjnictwo przerwał siłą zamach majowy postępującą stale choć powolnie ewolucję. Spadkobiercy zamachu, szukając nowych rozwiązań, zgubili po drodze wielonarodowość a znaleźli monopartię. Czyż dziś, po erze Hitlera i stalinizmu, znajdzie się jeszcze Polak, który by był im za to wdzięczny?

Największą szkodę wyrządzili chyba sobie samym. Bo na barki obozu, który lubił sobie przypisywać wyłączną zasługę za wyzwolenie Kraju w r. 1918, spadł po r. 1939, równie niesłusznie, ciężar wyłącznej odpowiedzialności za klęskę.

Kajetan Morawski.

68